

# Wina i pokuta

2)

(Z angielskiego).

— O! nie, ale Molly trwoży się o niego, i prosiła mnie, abym w czasie jej nieobecności — pilnie na niego uważał.

— Miss Molly wyjechała?

— Wczoraj do Manchesteru — do chorej przyjaciółki. I nie wiadomo kiedy wróci.

— Co cię pogrąża w bezdeń melancholii... Ale wytłomacz — jakim sposobem przyrzeczenie, dane miss Molly sprowadza cię tutaj w nocy pod teatr?

— Ponieważ przypuszczałem, że Henryk będzie tutaj oczekiwał na swoją ubóstwianą Alicję... Byłem już u niego w domu, ale nie zastałem ani jego, ani lokaja... I w teatrze zdaje się, także go nie było...

— Ni potrzebne trudziłeś się... O ile wiem, Thompson znajduje się obecnie na zgromadzeniu wyborczym liberalnego stronnictwa... chcą go bowiem wysunąć jako kandydata... Może zatem w tej chwili popełniać głupstwa tylko polityczne... A wszak to przed głupstwami miłosnymi miałeś go strzedz...

— Istotnie. Dawniej brat Molly był najspokojniejszym w świecie człowiekiem, ale od czasu, gdy Alicji Belmore asystuje ten nabab z Indyi, ten Macmorris — Henryk jest poprostu nie do poznania... W napadzie szalonej, wariackiej zadróci — gotów zrobić Bóg wie nie co.

— Na dzisiaj niema obawy. Możesz spokojnie iść spać.

— Wcale mi się spać nie chce. Tylko nie wiem co zrobić z wieczorem?

— W hotelu „Splendid” jest koncert na dobroczynność... potem mają być tańce...

— Taką piękną letnią noc zmarnotrawić w dusznych salach? O! nie... przytem już mnie dzisiaj dosyć skarłowano... Musiałem kupić ze cztery tuziny kwiatków...

Hm!... w takim razie chodźmy pod „Zielonego Dęba” na butelkę wina.

— Zgoda.

Na werandzie doktor Larnings skierował się odrazu do swego faworytalnego okrągłego stołu w cieniu oleandrów, ale Thompson powstrzymał go.

— Do tego indywiduum nie możemy się przecież przysiąc...

Przy stoliku siedział już bowiem jakiś mężczyzna w eleganckim napocór, ale tandetnym i podniszczonym już ubraniu. Przed jego stołem stała już cała bateria opróżnionych butelek.

— Kto to taki?

— Robi wrażenie jakiegoś wędrownego komedyanta...

— Pijany jest jak bela...

— Musi mieć pieniądze, nie kredytuja mu przecież...

— Co nas to obchodzi!... Siadajmy zatem — o! tu...

Usiedli i kazali podać sobie wino. Doktor Larnings z widocznym upodobaniem rozlewał złocisty płyn w kieliszki.

— Uczciwy trunek podaja w tej knajpie!... —

No — zdrowie tych, których kochamy!...

— Zdrowie miss Molly!... — i adwokat westchnął.

Doktor spojrzał na niego badawczo:

— Jakże stoi twoja sprawa z miss Morton?

— Ciagle jednakowo. Jeżeli Henryk osiągnie cel swoich zabiegów to i ja także...

— Więc wszystko w ręku Belmore?

— Tak jest. Jeżeli ona Henryka odrzuci, gotów się nigdy nie ożenić...

— A Molly?

— Nie opuści go! Brat i siostra kochają się niewypowiedzianie. Molly przysięgła matce, że nie opuści Henryka, dopóki nie będzie miał przy sobie swej kochającej towarzyszkii...

— To wzruszające... Miejmy nadzieję, że Henryk Morton zdobędzie swoją ukochaną... On przecież chce się z nią naprawdę żenić, a Alicja Belmore znana jest ze swojej niezłomnej cnoty. Wiedzą przecież wszyscy, że księżu krwi królewskiej odpowiedziała: „Wasza Wysokość droga do mego serca prowadzi przez ołtarz”.

— Szanse Mortona są mimo tego bardzo niepewne...

— Mówiono o tem ogólnie, że go wyraźnie wyróżniała...

— Tak! dopóki nie zjawił się ten Macmorris...

— Aha! ten z Indyi — magnat, milioner!... Oczywiście miliony zaważyły na szali.

— Nie uważam Alicji Belmore — rzekł Thompson — za kobietę zdolną do powodowania się pobudkami niskiej interesowności... Lękam się czego innego.

— Mianowicie?

— Macmorris mógł rozbudzić w jej śpiącym dotychczas sercu pierwszą prawdziwą namiętność...

— Sądysz, że go kocha?

— Lękam się, że tak jest istotnie.

— Wszakże Macmorris był szkolnym kolegą i przyjacielem Mortona?

— Tak jest i to Henryk nawet przedstawił go miss Belmore... Teraz przyjaźń skończona... To są dwaj rywale — śmiertelni wrogowie...

Dal się słyszeć hałas, gwar podniesionych głosów.

— Co się to dzieje? — zapytał Thompson — awantura jakaś czy co? To skandal w takim przyzwoitym lokalu!

— Wyrzucają tego pijaka!

— Powinny to dawno zrobić!

Może to jakiś wykończony geniusz, może wariak!... Dla lekarza to może być ciekawe. Przysłuchajmy się.

Zbliżyli się do stolika, w którego blat ów pijak walił pięścią, wrzeszcząc na kelnera:

— Słyszysz, niewolniku!... fagasie podtył!... powiedziałem!... szampana!...

— Naprzód niech pan ureguluje tamten rachunek!

— Ach! ty kramarsko duszolis!... ty sługo Mamon!... Czy ty wiesz, kto to jest Reginald Cund!... czy ty się znasz na sztuce!... ugnij czoła przed kapłanem sztuki, bo inaczej rzucę na ciebie przekleństwo i zgniesz w tej podłej knajpie!... Szampana — słyszysz!...

Goście śmiali się głośno. Reginald Cund do nich skierował teraz swoją przemowę:

— Śmiejesz się nędzny, bezduszny flumiel!... Bo nie wiesz, kto jestem!... Biedaka wyrzucilibyście za drzwi, ale ze mną musicie się teraz liczyć!...

— Dosyć tych bredni! — krzyknął kelner — albo pan zapłaci, albo wezwę policję!...

Cund zerwał się z krzesła.

— Co mówi ta nędzna służalczą kreatura?! — ryknął — czy tak się traktuje wielkiego artystę?! Teraz wmieszał się w awanturę i sam gospodarz.

— Proszę natychmiast opuścić mój lokal!...

— Tu l'as vouhi, George Dandin! — wykrzyknął zachrypłym głosem pijak — w tej podłej speluncie nie postoi już moja noga!...

— Ale przedtem zapłać, lajdaku!... — kelner przytrzymał go za ramię.

Reginald Cund z gestem nieporównanej dumy sięgnął do kieszeni swego wytartego żakietu i rzucił banknot wysokiej wartości na stół.

Gospodarz i kelnerzy zamienili spojrzenia. Wśród gości szeptano:

— To dziwak jakiś, oryginał.

— Naumyślnie się tak ucharakteryzował.

— Aby zakpić sobie z ludzi.

— Może to znakomity artysta?

— Albo wariak?

— W każdym razie ma pieniądze...

— Może fałszywe...

Kelner obejrzał banknot uważnie pod światło:

— Autentyczny...

Gospodarz siłił się, aby swej zirytowanej fizyognomii nadać uprzejmy wyraz.

— Bardzo mi przykro, proszę pana — rzekł tonem usprawiedliwienia — ale szampana o tak późnej godzinie podać już nie możemy... zamykamy już...

Także kelner był zmieszany:

— Niech pan będzie łaskaw poczekać chwilę. Zaraz wydam resztę.

Pijany gość wyprostował się o tyle, o ile to było możliwem w stanie, w jakim się znajdował. Spojrzał na kelnera z najwyższą pogardą:

— Nie potrzebował!... Ryszard Cund nigdy nie zajmował się drobiazgami!... Resztę — zostaw sobie jako napiwek!...

Zawstydzony, pełen skruchy gospodarz — usiłował sprowadzić swego osobliwego gościa po schodkach, prowadzących z werandy na ulicę, ale Ryszard Cund odepchnął jego pomocnicze ramię.

— Precz!... Nie dotykaj mnie twemi plebe-

juszowskiemi rękami!... Ja grywam tylko książkę i królów!...

Będzie nam bardzo miło, jeżeli pan nas znowu zaszczyci swemi odwiedzinami.

— Ryszard Cund, który szczęśliwie zszedł już z dwóch schodków — zatrzymał się.

— Słuchaj!... no ty!... tyś mnie obraził!... Odtąd jesteśmy śmiertelnymi wrogami!... Zobaczmy się — na Filipi!...

Adwokat Thompson wziął towarzysza pod ramię:

— Chodźmy.

— Możemy. — Szkoda, że się to już skończyło!... Pyszny chłop!...

— Ma humor, ale to jakiś kabotyn.

— Albo filozof, który się maskuje. W każdym razie ma pieniądze.

— Kto tam wiedzieć może, komu je ukradł — zauważył sceptycznie Thompson.

Weszli w ulicę pogrążoną w mroku letniej nocy, rozświetlaną przez wązkie, nieco zamglony sierp księżyca.

— Czy to willa Roberta Macmorissa — tutaj w ogrodzie — na rogu? — zapytał doktor Larnings.

— Tak jest. To jest właściwie willa nie jest jego własnością, ale wynajął ją od starego Crichtona...

— Przyznam się, że nie chciałbym mieszkać tak samotnie wśród samych ogrodów... O! teraz naprzykład widzę kolo parkanu jakieś nieco podejrzane indywiduum.

Adwokat wytył wzrok, aby w świetle odosobnionych latarni — zobaczyć twarz owego rzekomo podejrzanego indywiduum.

Nagle chwycił doktora za rękę.

— Ależ to brat Molly!...

— Henryk Morton!

— Tak! on we własnej osobie!...

— Nie zauważył nas!...

— A tyś go wziął za nocnego włóczęgę czy opryszka!...

Ale co on tutaj robi w nocy?... Gdyby tak jeszcze krążył kolo mieszkania Alicji Belmore — to rozumiałbym... Ale w nocy kolo domu swego rywala...

— Zawołajmy na niego! to najlepiej on sam wyjaśni... Henryku!...

— Panie Morton!...

Postać drgnęła, jakby nagle ze snu zbudzona.

— Dziwne doprawdy!... on nas wcale nie poznaje!... — rzekł Thompson.

Morton spoglądał przez chwilę bezmyślnie w przestrzeń, potem podniósł rękę do czoła, uczynił kilka chwiejnych kroków i zniknął na zakręcie ulicy.

— Zdaje się, że on swój ból miłosny utopił dzisiaj zbyt głęboko w kieliszku — zauważył Thompson i chciał pogonić za bratem swej ukochanej.

Doktor zatrzymał go:

— Daj mu spokój!... Nie umiesz się obcho- dzić z chorymi!...

— Morton przecież nie jest chory!...

— Na mnie robił wrażenie człowieka w najwyższym stopniu zdenerwowanego, prawie nieprzytomnego!...

— Rzeczywiście wyglądał zupełnie tak samo jak wtedy, gdy go zahypnotyzował ten Haired-din-bey!...

— Jaki? to on zadaje się z tym hypnotyzerem?! To mi się wcale nie podoba. Na człowieka w stanie tak silnego rozdrażnienia nerwów, hypnotyzer może wyrzucić fatalny wpływ!...

— Tego samego obawia się Molly!... Ale cóż było robić? Henryk uparł się, abyśmy mu towarzyszyli do hypnotyzera, który odkrył w nim wyjątkowo podatne medyum!...

— I cóż Haired-din-bey robił z Mortonem za eksperymenty?

— Wprawiał go w trans i sugerował mu rozmaite czynności?

— Które Morton dokładnie wykonywał? — dopytywał się mocno zainteresowany doktor Larnings.

— Tak jest. Z otwartemi oczyma, które nic nie widziały, chodził po pokoju i wykonywał wszystkie polecenia Haired-dina-beya!... Wkońcu padł na fotel — wyczerpany, jak bez życia — i dopiero wtedy hypnotyzer obudził go!...

Doktor Larnings, który znalazł się właśnie przed swoim mieszkaniem, uściśnął przyjacielowi rękę na dobranoc:

— Zwracam ci uwagę, abyś nie pozwał na podobne eksperymenty!...